

Moja ulica Jagiellońska. Skierniewice po wojnie

data aktualizacji: 2019.10.31 autor:



W osadzie Pałacowej, tuż przy ulicy Sienkiewicza i o krok od Sejmiku, stała wielka obora pełna krów. Niedaleko stąd była również piekarnia Gotowickiego i ciastkarnia. Na podwórka przychodzili wędrowni grajkowie, kolorowo ubrane Cyganki, a wodę do poszczególnych posesji dowoził wozi woda.

Z dwiema ulicami: Jagiellońską i Reymonta związane jest całe jej dotychczasowe życie. Choć położone blisko siebie, ulice te w czasie dzieciństwa regionalistki, pisarki ze Skierniewic bardzo się różniły. Pierwsza to ulica stara, jedna z najstarszych w Skierniewicach, druga bardziej przypominała wówczas wiejską drogę niż prawdziwą ulicę. Wiesława Maciejak, specjalnie dla Głosu, opowiedziała o mieście, które można dziś odnaleźć co najwyżej na starych fotografiach, w historiach spisanych ręką tych, którzy miasto ukochali. Oto historia miasta, którego już nie ma.

Jagiellońska! Tu się urodziłam i tu przeżyłam wczesną młodość. Zabudowana była w większości drewnianymi ruderami, wśród których wyróżniało się wyglądem kilka „porządnych kamienic”.

Pośród tej skromnej zabudowy zdecydowanie górowały okazałe gmachy Sejmiku Powiatowego,

naprzeciw którego otoczony sporym ładny dom, prawie pałacyk, obecnie siedziba biur poselskich. Dalej był browar ukryty za szczelnym, wysokim płotem. Szeroka brama otwierana była dla wyjeżdżających wozem załadowanym bekami z piwem, cenionym ponoć przez piwoszy za dobrą jakość. Wielkie transportowe wozy ciągnęły potężne, wypasione na jęczmiennych wysłodkach konie. Zimą zwożono ogromne bryły lodu, wyrąbywane na rzece. Przechowywano je w przepastnych piwnicach browaru, latem rozwożono do restauracji, lodziarni i sklepów, gdzie używane były do utrzymywania niskich temperatur w czasie upalnych dni. Nie było przecież jeszcze lodówek.

Każda posesja tworzyła odrębną całość. Z ulicy wchodziło się przez bramę na podwórko, najczęściej niezbyt duży plac otoczony wokół domami tzw. oficynami. Tylko na niektórych podwórkach było trochę zieleni. Większość wybrukowana była kocimi łbami, z których gdzieniegdzie sterczały kępki trawy.

W tych posesjach mieszkało nieraz po kilkanaście rodzin. Mieszkania były na ogół małe, często jednoizbowe. To samo pomieszczenie pełniło rolę kuchni, jadalni, sypialni i łazienki. Nie było w nich bieżącej wody ani kanalizacji. Wodę trzeba było nosić ze studni, znajdującej się na tzw. „ryniecisku”, czyli w miejscu gdzie teraz stoi „łamaniec” lub z przeciwnego końca ulicy z „berkowizny”. Obecnie znajduje się w tym miejscu parking starostwa. Czasem, z powodu awarii, po wodę trzeba było iść aż do Osady Pałacowej, gdzie przy bramie po lewej stronie, na zewnątrz do dziś stojącego budynku zwanego przez nas wieżą ciśnień umieszczony był kran, z którego woda znana była z doskonałego smaku. Odległość jednak zniechęcała do częstego korzystania z ujęcia. Do dziś pamiętam ból w kościach zmęczonych noszeniem dziesiątek wiader wody potrzebnej do prania.

Można też było kupić wodę od woziwody, który beczkowitzem zaprzężonym w konie podjeżdżał pod samą bramę i dzwonił specjalnym żelastwem, by zasygnalizować swój przyjazd. Na ten dźwięk wszyscy biegli z wiaderkami, a woziwoda za parę groszy napełniał je wodą.

Bрудna woda wylewana była najczęściej wprost do rynsztoka biegnącego wzdłuż całego podwórka, aż do ulicy, a dalej - myślę, że do rzeki. Bardzo to było przykre dla nosów, szczególnie latem. Ponury obraz podwórek dopełniały ubikacje usytuowane zazwyczaj w najdalszym zakątku, a także okropne śmietniki. A mimo to, gdy tylko przychodziły pierwsze ciepłe dni, mieszkańcy chętnie wylegali na podwórka i spędzali tu sporo wolnego czasu. Toczyło się ożywione życie towarzyskie. Gospodynie prały szyły i dziergały na drutach. Mężczyźni grali w karty, rozmawiali, a dzieciaki których w żadnym z podwórek nie brakowało, bawiły się w różne dziecięce zabawy m.in. w „chowanego”. Zabawie sprzyjało mnóstwo zakamarków i rozmaitych przybudówek, umożliwiających skuteczne ukrycie się przed szukającym. Z otwartych wreszcie po długiej zimie okien dochodziła muzyka z popularnych wtedy tzw. głośników. To było rządzenie umożliwiające odbieranie wyłącznie jednego ogólnopolskiego programu, przekazywanego przez radiowęzeł znajdujący się na poczcie. Radia były raczej rzadkością, z uwagi na wysoką cenę mogli je kupić jedynie nieliczni.

Właścicielem domu, w którym mieszkałam, czyli jak to się wtedy mówiło „gospodarzem” był Żyd o egzotycznym nazwisku Flekier Majer. Pamiętam doskonale, jak raz w miesiącu odwiedzał lokatorów, by zebrać czynsz.

Wyjechał z Polski przed 1958 r., a dom z którego niewiele obecnie zostało, kupiło od niego młode polskie małżeństwo. Na podwórkach czasem było miło i wesoło, a czasem wybuchały nieporozumienia i kłótnie. Życie w warunkach takiego zagęszczenia wcale nie było łatwe. Jednak w przypadku jakichkolwiek zagrożeń wszyscy sąsiedzi stawali murem i solidarnie sobie pomagali. Wszyscy dorośli mieli oko na dzieciaki własne i cudze. Dawało to dzieciom poczucie bezpieczeństwa.

Podwórka pełne były różnych zwierząt. Były konie, które całe dni pracowały ciężko ciągnąc wozy transportowe, załadowane węglem lub innym towarem. W chlewikach kwiczały świnki, hodowane

przez zaradne gosposie. Były kozy, króliki, kury, psy, koty, no i oczywiście nie było podwórka bez gołębi. Srebrniaki, krymki, garłacze i Bóg wie jakie jeszcze, krążyły całymi stadami nad ulicą, połyskując pięknie w słonecznym blasku. Właściciele pogwizdywali, wymachiwali długimi tykami, przynęcali obce okazy pszenicą. Był to cały tajemny rytuał, uprawiany zresztą wyłącznie przez mężczyzn. Pochwycenie obcego gołębia było nie lada wyczynem, którym chlubiono się niczym zdobyciem trofeum myśliwskiego.

Starsi mieszkańcy Jagiellońskiej, podobnie zresztą jak i innych ulic, siadywali bardzo chętnie na ulicy, obok własnej bramy. Był to świetny punkt obserwacyjny. Każdego przechodnia śledziły czujne oczy, a gdy już zniknął za zakrętem, komentarzom i uwagom nie było końca. Młodzież bardzo nie lubiła tego zwyczaju. Na szczęście jesienne chłody kończyły te praktyki i ulica robiła się pusta. Jednak ta pustka nie była dla mnie zbyt przyjemna, gdy przychodziła pora pójścia po mleko. W Osadzie Pałacowej tuż przy ulicy Sienkiewicza o krok od Sejmiku, stała wielka obora pełna krów, gdzie codziennie około godziny 19 kupowałam świeże, ciepłe jeszcze mleko. Kiedy przychodziła późna jesień, a potem zima, ciemną wyludnioną ulicę oświetlało kilka zaledwie latarni rzucających nikłe chybotliwe światło. Latarnie kołysały się i wydawały jęklive odgłosy przy każdym powiewie. Moje kilkuletnie serce biło jak szalone. A najgorzej było przy Sejmiku. Moja babcia opowiadała, jak to na początku lat dwudziestych w wykopie pod mający powstać Sejmik znaleziono ludzkie szczątki. Dziecięca wybujała wyobraźnia podsuwała mi myśli, że w oknach mijanych suterren zobaczę za chwilę świecące zimnym blaskiem czaszki i piszczele. Biegłam, jak mogłam najszybciej, by minąć to okropne miejsce, na czym nieraz ucierpiało niesione przeze mnie mleko.

Było wówczas na mojej ulicy kilka sklepów, a właściwie sklepików spożywczych. U Dacko, u panny Sabiny, u Zdziecha, trochę dalej tzw. spółdzielnia, gdzie sprzedawały dwie przemiłe panie, z których jedna, pani Zosia była szczególnie miłą i lubianą sprzedawczynią. Na zakręcie do ulicy Mszczonowskiej (tu mniej więcej znajduje się przystanek autobusowy) była piekarnia Gotowickiego, gdzie można było kupić świeżo upieczony pyszny, pachnący chleb. Pieczywo z tej piekarni rozwożone było do sklepów specjalnym, konnym furgonem przez poczciwego niemowę, ubranego latem i zimą w umączony stary wojskowy mundur. Dzieciaki wołały za nim „ Epe, Epe”, przedrzeźniając jedyny wydawany przez niego dźwięki.

Był wszakże jeden dzień w roku, kiedy moja ulica zmieniała się nie do poznania. Nie widać było brzydoty starych ruder, które tego dnia od świtu ludzie maili zielonymi gałęziami. Wszędzie było czysto, chodniki i jezdnię wysypywano żółciutkim piaskiem, malowano białą farbą krawężniki. Rozrzucano świeżo ścięty tatarak, którego zapach unosił się nad całą ulicą. To było Boże Ciało! Dzieciaki ze zwartych końcówek tataraku umiały robić piszczałki i zewsząd słyhać było cieniutkie popiskiwanie.

Mieszkańcy upiększali ustawiane przy każdej bramie ołtarzyki obrazami, figurkami i kwiatami. Każdy przynosił, co miał najpiękniejszego, a to obrus, a to serwetę, a to wazon, chcąc przyozdobić ołtarz przy swojej bramie. Procesja przechodziła od Kościoła przez Rynek, Jagiellońską, wokół Sejmiku, potem Prymasowską i Senatorską do Kościoła. Dzwonki, kadzidła, sypane przez małe dziewczuszki płatki kwiatów, odświętny tłum i strojna, świąteczna ulica stwarzały wyjątkowe przeżycie, niepowtarzalny, wzniosły nastrój.

Minęły lata, prawie pół wieku. Bardzo wiele zmieniło się na mojej ulicy. Czas sprawił, że walące się domy zaczęły się całkiem rozsypywać i trzeba je było rozebrać. Już tylko na starych fotografiach w Towarzystwie Przyjaciół Skierniewic można zobaczyć, jak kiedyś ta ulica wyglądała. Wybudowano kilka nowych okazałych budynków, jezdnię pokryto gładkim asfaltem, nie ma cuchnących rynsztoków, ale wciąż, choć przykro mi to mówić, nie jest to zbyt atrakcyjna ulica.

A moja druga ulica ? To zupełnie inna opowieść.

Źródło: <https://skierniewice.eglos.pl/aktualnosci/item/33724-moja-ulica-jagiellonska-skierniewice-po-wojnie>